

# Obcowanie

Nasza wspólnotowość przeżywa głęboki kryzys. Europa przypomina coraz bardziej wioskę z filmu Wernera Herzoga „Szklane serce”, w której utracono tajemnicę konstytuującą życie mieszkańców, a prorocy wieszczą nadejście końca świata. Rozpaczliwie poszukujemy kozła ofiarnego, pod ręką mając imigrantów i podejrzliwie spoglądając na muzułmanów. Nie zbudujemy racjonalnego gruntu dla przyszłości okopując się na własnym brzegu. Czystki etniczne, deportacje, getta, rasizm i ksenofobia... Wszystko to już przerabialiśmy, choć nie wszyscy chcemy pamiętać, że poza ludzką katastrofą nie przynosi to żadnego rozwiązania, jest w najwyższym stopniu irracjonalne. Stoimy obecnie w obliczu bardzo wielu realnych problemów, w tym ekologicznych, demograficznych czy społecznych, dla których rozwiązań trzeba szukać tak na gruncie moralnym, jak i ekonomicznym. To, co je wszystkie łączy, to fakt, że żadnego z nich nie da się rozwiązać „w pojedynkę”. Możemy tego dokonać jedynie wspólnie z innymi, obejmując tu i teraz – bez uciekania od rzeczywistości, która wystawia na próbę nasze wyobrażenia o niej – całe sąsiedztwo i udzielając gościny. W tym stwierdzeniu nie chodzi o doraźne uzasadnienie potrzeby zmierzenia się z wielką falą przychodźców (*licentia poetica* prof. Jerzego Bralczyka), która wywołała europejski kryzys. Chodzi o odwieczną tajemnicę wspólnoty, która ustanawia się w pełni tylko dzięki obecności obcego. Dlatego ta opowieść jest o obcowaniu.

Obcowanie mówi nam o naszej – w sensie naszej krwi, narodowości czy kulturze – niewystarczalności w zawiązywaniu wspólnoty. Znajduje to wyraz w samym słowie określającym wspólnotowość, w którego rdzeniu znajduje się obcy/obca. Jest to słowo dość niezwykle, bowiem za wyraz pojęcia przez nie wyrażanego skłonni bylibyśmy raczej uznawać to, co wspólne, tak jak to jest w przypadku słów wywodzących się od łacińskiego *communio*. Szukając dla niego odpowiednika w europejskiej tradycji moglibyśmy powiedzieć: *ksenopolis*, ale tylko wówczas, kiedy rozumielibyśmy przez to nie społeczność przyjazną innemu, ale taką, którą *ksenos* konstytuuje. Ta opowieść mogłaby się rozpocząć na przykład tak...

Dawno temu wędrowali po ziemi dwaj mnisi. Opowiadacze tej historii różnią się w ich opisie. Raz nazywają ich Li i Wu, innym razem po prostu mniejszym i większym, albo młodszym i starszym, wreszcie podążającym ścieżką serca i ścieżką intelektu. Jedno jest pewne: wywodzili się z klasztoru znanego z reguł życia ustanowionych tradycją, w którym składali śluby wierności zasadom, w tym śluby milczenia za dnia i nieulegania pokusie kobiety. Droga prowadziła ich do rzeki, na brzegu której czekała kobieta. Różnie mówią: że przeszła rzekę rano, gdy poziom wody był niski, a teraz, po deszczu monsunowym rzeka wezbrała i odcięła ją od domu; że most zerwał; że była bardzo bogato odziana i bała się zamoczyć szatę z jedwabiu. Jedno jest pewne: była piękna i młoda. A także to, że pierwszy mnich, nazwijmy go młodszym, odwrócił od niej wzrok i wierny temu, kim był, sforsował rzekę przechodząc mimo oczekującej pomocy. Natomiast starszy mnich nie zastanawiając się wiele wziął kobietę na ramiona i przeniósł ją przez rzekę na drugi brzeg. Kobieta podziękowała (wieść niesie nawet o uściśnięciu dłoni mnicha, ale nie wszyscy opowiadacze posuwają się aż tak daleko) i poszła w swoją stronę, a dwaj mnisi w swoją. I tutaj znowu wersje opowieści różnią się od siebie: jedne sugerują, że już po pięciu minutach młodsi mnich odezwał się do starszego; inne oddalają ten fakt w czasie o trzy godziny albo wręcz o upływ całego bożego dnia i lokują to ważne wydarzenie rozmowy nie na drodze i w żywiole wędrowania, lecz już w zaciszu zmroku i klasztornej celi; inne wreszcie podkreślają, że młodsi mnich wielokrotnie inicjował swymi gwałtownymi pytaniami rozmowę, natrafiając na głębokie milczenie starszego, które zostało przerwane dopiero po zapadnięciu nocy. Jedno wszakże jest pewne: inaczej teraz przebiegało wędrowanie mnichów po ziemi – starszy szedł zestrojony z sobą, sycąc się pięknem krajobrazu i uwagą obdarzając wszystko, co napotkał; natomiast młodsi niewiele dostrzegał z otaczającej go rzeczywistości, lękał się spotkania kogokolwiek i ugiął się pod ciężarem, niewidocznym wprawdzie, a jednak realnym (tak

jak przeszłość może być miniona, a jednak obecna). I to także jest pewne, że młodszy mnich wybuchnął oskarżycielskim pytaniem skierowanym do starszego pobratymcy w wierze i swojaka z tego samego klasztoru, pytaniem o to, jak mógł wziąć na ramiona kobietę, która gładkimi udami ścisnęła jego biodra, jędrnymi piersiami przylgnęła do jego pleców, powabnymi ramionami objęła jego szyję, a może nawet gorącym policzkiem dotknęła jego policzka. Nie wszystkie opowieści są aż tak pełne szczegółów opisu tej kontrowersyjnej sytuacji. Większość z nich ogranicza się do pytań prostych jak katechizm: jak mogłeś złamać zasady ustanowione tradycją, sprzeniewierzyć się sobie, zdradzić nasz zakon? I dla kogo to wszystko – nieznanej kobiety, jakiejś obcej? Choćbyśmy uwzględnili niezliczoną ilość wersji tej opowieści, czasem znacznie odległych od siebie, wszystkie one – jak strumienie z różnych źródeł wpadające do jednej rzeki – zbiegają się w nieuchronnej odpowiedzi starszego mnicha: „Bracie, ja pozostawiłem kobietę na drugim brzegu rzeki. Czyżbyś dźwigał ją teraz ty, przez życie całe?”.

Najstarsza znana nam tradycja mówi, że dwaj mnisi byli buddystami, że wywodzili się z klasztoru zen, że żyli w Chinach. Ale przecież mogliby być z innej religii, z innej wspólnoty, z innego kraju. Złożone przez nich śluby i my składamy naszym wiarom, ojczyznom, wartościom. I nie ma takiego zakątka na świecie, w którym droga, wcześniej czy później, nie prowadziła by człowieka do rzeki, na brzegu której czeka Inna/Inny.

Różne nauki można wysnuć z opowieści o dwóch mnichach i kobiecie. Jedni będą podkreślać, jak zgubne dla człowieka może być nagromadzenie negatywnych myśli i uczuć, które nie pozwalają rozwiązać żadnych życiowych problemów, a w zamian uprzedzeniem i lękiem oddalają go od realnego świata. Natomiast to, co zbliża człowieka do rzeczywistości i pozwala mu skutecznie się z nią mierzyć, ma swe źródło w spontanicznym akcie serca, w filozofii życia, która podąża za porywem duszy (*follow your bliss*).

Szkoły zen, które czasem „zadają” tę opowieść swoim uczniom jako koan, nauczają o czystości umysłu starszego mnicha, która pozwoliła mu rozpoznać sytuację i odpowiednio na nią zareagować, po czym kontynuować drogę w gotowości na to, co przyniosą kolejne kroki. Aby poradzić sobie z wyzwaniem, które stwarza życie na każdym kroku, umysł człowieka musi być otwarty na różne możliwości, co jest znacznie ograniczone w przypadku obarczenia go złą pamięcią i resentymentem przeszłości. Innymi słowy mentalne uzależnienie od idei czy wcześniejszego doświadczenia blokuje pełne doświadczenie obecności tu i teraz. Komentarz pewnego mistrza medytacji ujmuje to jeszcze dosadniej: „złoscimy się, jeśli ktoś wrzuci śmieci do naszego domu, ale nie bronimy się przed zaśmiecaniem naszego umysłu”.

Arabski mistyk Abu Hassan Bushanja pouczał: „Grzeszny czyn jest znacznie mniej szkodliwy niż pragnienie i idea dokonania go. Jedna rzecz to ulec ciału w chwilowej przyjemności, a inna rzecz, bardzo różna, to ciągle to rozważać w umyśle i w sercu”. Swoje trzy grosze do historii o dwóch mnichach dorzucił Anthony de Mello: „Kiedy osoby religijne w kółko rozpamiętują grzechy innych, można podejrzewać, że to wgłębianie się daje im więcej przyjemności niż grzesznikowi”.

Dla Jiddu Krishnamurtiego spotkanie nad rzeką starszego mnicha z kobietą było przede wszystkim przypowieścią o dobrej samotności: „Jedynie wtedy, gdy zwracamy uwagę na jakiś problem i natychmiast go rozwiązujemy, nie odkładając go na następny dzień czy następną minutę, pojawia się samotność. /.../ Być wewnętrznie samotnym i mieć w sobie przestrzeń jest bardzo ważną sprawą, bo oznacza wolność bycia, pójścia dokądkolwiek, działania, wolność lotu. Ostatecznie, dobroć może rozkwitać tylko w przestrzeni, a cnota może rozkwitać tylko tam, gdzie jest wolność. Możemy mieć polityczną wolność, a wewnętrznie nie być wolni...”.

W tradycji chrześcijańskiej żywa jest opowieść o dwóch mnichach pielgrzymujących do relikwii wielkiego świętego, których w drodze zaskakuje nie tyle ukazanie się pięknej niewiasty, ile fakt, że

jest kobietą z krwi i kości. Egzegeci tej historii nacisk kładą na wewnętrzną wartość człowieka, o której decyduje to, co się dzieje w jego sercu, i przeciwstawiają ją legalistycznej moralności, symbolizowanej we wczesnym chrześcijaństwie przez faryzeuszy. Dlatego przywołuje się przy tej okazji słowa Jezusa z Ewangelii Mateusza: „oczyść najpierw wnętrze kubka, aby i to, co jest na zewnątrz, stało się czyste” (Mt 23, 26), oraz cytowane przez Jezusa (Mt 15, 8-9) słowa proroka Izajasza: „Ten lud czci mnie wargami, ale jego serce daleko jest ode mnie; i czczą mnie na próżno, głosząc nauki, które są nakazami ludzkimi”.

Im bardziej wglębiamy się w opowieść o dwóch wędrownych mnichach i obcej kobiecie, im bardziej poznajemy jej różne interpretacje, im bardziej staramy się ją odnieść do czasu i miejsca nam przeznaczonych, tym bardziej przekonujemy się, że jest to opowieść o współistnieniu. I niech nas nie zwodzi wiedza o tym, że zdarzenie nad rzeką trwało chwilę za ledwie, a współistnienie lub jego niemożność to nasz byt codzienny. Świadomość człowieka przypomina opowieść samą, pisaną intensywnym doświadczeniem, granicznym, takim jak wydarzenie spotkania Innego, przemieniającym ją w przypowieść o życiu, która gdzieś na dnie naszej świadomości osadza esencję długiego trwania.

Starszy mnich swoją niewymuszoną mądrością i pełną spokoju wewnętrzną wolnością budzi nasz podziw połączony z życzliwą zazdrością. Trudno ukryć, że dzieli nas od niego spory dystans, że spoglądamy na jego ścieżkę z oddali naszego miejsca w rzeczywistości, miejsca o wiele bardziej problematycznego, splątanego międzyludzkimi powikłaniami, uwarunkowaniami bytowymi, dziedzicznym obciążeniem, kulturowymi uprzedzeniami. Wydaje się nam, jakby korzenie starszego mnicha rozgałęziały się z jego głowy ku niebu, podczas gdy nasze silnie wrastają w ziemię.



Cmentarze, kościoły, cerkwie przypominają o obecności Innych. Kościół oo. Franciszkanów w Krośnie, cmentarz żydowski w Krośnie, dawna cerkiew grekokatolicka św. Paraskewy w Rzepniku.  
Fot. Grzegorz Bożek

Dystans otwarty przed nami przez starszego mnicha stwarza przestrzeń, w której może rozkwitać – jak powiedziałaby Krishnamurti – nasze rozumienie współistnienia. Przede wszystkim odniesieni zostajemy do spontanicznego aktu serca, zrodzonego z realnej sytuacji życiowej i potrzeby napotkanej Innej. Wobec tego aktu na drugi plan schodzą ustanowione wcześniej zasady i wierzenia, a nawet przysięgi im składane, owe głoszone przez lud „nauki, które są nakazami ludzkimi”. Więcej, sytuacja wymaga tego, aby zostały one przełamane, wymaga więc odwagi narażenia się na zarzut zdrady i odstępstwa od siebie i od swoich.

Ten akt serca, założycielski dla współistnienia, znajduje dla siebie tradycję w jednej z najstarszych ksiąg Biblii. Oto w Księdze Kapłańskiej 19,34 czytamy: „Niech ten przybysz osiadły pośród was będzie traktowany jak rodak; masz go miłować tak, jak samego siebie...”. To pouczenie Jahwe skierowane do Mojżesza, jest przywoływane w Pięcioksięgu kilkakrotnie, jednak wcześniej w Księdze

Kapłańskiej mówi się o miłości bliźniego w sensie „współrodaka” (19,18), w Księdze Powtórzonego Prawa o miłowaniu „cudzoziemców, bo sami byliście cudzoziemcami w Egipcie” (10,19), natomiast w Księdze Wyjścia o tym, że „nie wolno ci uciskać obcego [...] gdyż sami byliście obcymi w ziemi egipskiej” (23,9). Pouczenie przywołane na początku, spisane w piątym wieku przed Chrystusem, choć, jak już dziś wiemy, opierające się na bardzo starych przekazach, sięgających nawet połowy drugiego tysiąclecia przed Chrystusem, jest jednym z najstarszych, jeśli nie najstarszym w tradycji judeochrześcijańskiej ustanowieniem relacji z Innym jako współistnienia. Łączy ono w sobie dwa nakazy, które w innych miejscach Biblii, o których już wspomnieliśmy, a także w późniejszych ich odczytaniach aż po dzień dzisiejszy były i są traktowane rozdzielnie, a często wręcz przeciwstawnie, jako przynależne różnym porządkom – racjonalnemu i irracjonalnemu. W pierwszym członie pouczenia mówi się o traktowaniu przybysza (obcego, wędrowca, imigranta, uchodźcę etc.) jak rodaka, współobywatela, co obejmuje i równość wobec prawa, i przyzwolenie na odmiennosc (religijną, rasową, narodową etc.). Zwłaszcza dzisiaj podkreśla się silnie ten aspekt legislacyjny w ustanawianiu współistnienia, dowodząc często, że zamiast mówienia o tolerancji i innych „nieuchwytnych” racjonalnie wartościach, powinniśmy skoncentrować się na stanowieniu konstytucyjnego porządku gwarantującego prawa człowieka. Księga Kapłańska bynajmniej nie lekceważy tego aspektu współistnienia, ale też na nim nie poprzestaje. Jej pouczenie sięga dalej, ku miłości, która jest przekroczeniem, zawartym już w samym „jak siebie samego” – tak miłować obcego oznacza zmienić siebie samego, wyjść poza siebie. Ta miłość nie jest nam dana, tak jak miłość własna, dlatego może zrealizować się tylko w przekroczeniu – w obcowaniu, najpiękniejszym słowie, jakie ma język polski dla określenia współistnienia.

Przekroczenie mówi nam o duchowym rozwoju, ale także o konflikcie, który rodzi granica i stanie na jej straży. Symbolizuje go dwóch mnichów i powstała między nimi kontrowersja. Czy po to stanowimy prawo, składamy śluby, wyznaczamy granice, by potem je łamać, zrywać i przekraczać? Konflikt ten wydaje się nierozstrzygalny, dopóki dwóch mnichów traktować będziemy rozdzielnie, każdemu przypisując osobną ścieżkę i czyniąc prawdę któregośkolwiek z nich jedyną. Nieprzypadkowo jednak w opowieści podążają oni jedną drogą, są i pozostają towarzyszami podróży. Przywołując język ludzi pogranicza, nawykłych do życia z innymi, które nie zaciera odmienności, moglibyśmy powiedzieć: droga ich graniczy. To, co ich łączy i dzieli, stanowi o współistnieniu. Akt serca starszego mnicha nie byłby możliwy bez granicy, której wierny pozostaje młodszy mnich. Granica czyni nas wolnymi nie dlatego, że nas od czegoś oddziela czy przed czymś zabezpiecza, ale dlatego że stwarza nam możliwość przekroczenia. Dlatego dwaj mnisi są jak bracia syjamscy, stanowiąc nierozdzielne części całości, którą pragnie być wspólnota jak również osoba człowieka. Stajemy się sobą, przekraczając siebie.

O współistnieniu stanowi także spotkanie. Li i Wu mogliby podróżować razem, żyć pod jednym dachem klasztoru, spierać się i pięknie różnić, ale to nie byłoby jeszcze obcowanie. Przestrzeń, w której „rozkwita dobroć”, otwiera przed nimi dopiero napotkanie Innej nad brzegiem rzeki. Dopiero wtedy mogą stać się wolnymi, w sensie „dobrej samotności” Krishnamurtiego. Opowieść mówi o przejściu przez rzekę. Wszyscy troje stają na drugim brzegu. Potem podążają dalej, każde w swoją stronę. Powrót na brzeg, z którego wyruszyli, nie jest już możliwy. Po wspólnym przejściu – a nie zapominajmy, że częścią tej wspólnoty są nie tylko starszy mnich i niesiona przez niego kobieta, ale także przepływający obok młodszy mnich, który nie podniósł oczu na kobietę – każdy z nich jest już kimś innym i znajduje się w innym miejscu. Budując współistnienie wszyscy się zmieniamy, nikt nie pozostaje przy swoim. Prawdziwe obcowanie jest możliwe tylko wtedy, gdy zgodzimy się opuścić własny brzeg, niezależnie od tego, czy zgadzamy się co do okoliczności, w jakich przejście to się odbywa.

Tak jak starszy mnich budzi w nas podziw i dystans jednocześnie, tak młodszy mnich, którego sytuacja zdaje się przerastać, jest nam najzwyczajniej bliższy. Dobrze znamy ciężar niespełnionego

spotkania z Innym, który pozostał obcym, bo zabrakło nam mocy, świetlistego daru, odwagi, wolności, by spotkanie to przemienić w obcowanie. Ten ciężar spoczywa w naszej chorobliwej pamięci, źle pojętej tożsamości, fałszywych ideologiach, w tradycjach skażonych ślepym bólem albo zgubnym poczuciem wyższości, w prymitywnym instynkcie dominacji, ślubach składanych przez niewolnych lękiem i własną słabością. Niesiemy ten ciężar przez kręgi własnej rodziny, w której różnych dokonywano wyborów światopoglądowych, religijnych i narodowościowych, i w których wybory serca mieszały krew; niesiemy go przez kręgi najbliższego sąsiedztwa i pogranicza wielokulturowych społeczności, gdzie na porządku dziennym były rasizm, nacjonalizm i inne formy nietolerancji; przez kręgi imperiów budowanych na niewolnictwie i kolonialnym podboju. Jest tak swojski, że wydaje się być częścią nas samych, nierozdzieloną, wpisaną w los człowieka i wspólnoty. Dlatego tak niepokojąca jest dla nas postawa starszego mnicha zarzucanego przez nas pytaniami, na które sami sobie odpowiadamy, by zagłuszyć jego odpowiedź, by dowieść nie tylko jego odstępstwa od nauk, które są nakazami ludzkimi, ale także tego, że to my wiemy, co jest prawdą o życiu, a co jedynie mrzonką. Czując się życiowymi pragmatykami, z konformizmu, lęku i fałszu absolutnych racji wznosimy zasłonę iluzji, by nie dostrzec otwartej przez akt przekroczenia starszego mnicha przestrzeni, w której działanie jest skuteczne, a ścieżka świetlista. Czując się wiernymi przysięgom, łamiemy je w imię wyższej konieczności, tak jak młodszy mnich, owładnięty myślą o grzechu innego mnicha, złamał ślub milczenia przed końcem dnia.

Przyznajmy: postawa młodszego mnicha znakomicie rezonuje ze światem człowieka współczesnego – światem postmodernistycznego relatywizmu, zacieranych granic, polityki pamięci, fetysyzacji przeszłości, kryzysu wielokulturowości, globalizacji gwałtownie spotykającej nas z obcymi. Trudno ukryć, że w świecie, w którym żyjemy, nie udało nam się spotkanie nad rzeką z Inną/Innym, bo zamiast wyzwolenia, jakie daje przekroczenie siebie, przyniosło ono niekończący się ciąg konfliktów i napięć, po raz kolejny w historii dających pożywkę rozmaitej maści obrońcom partykularnych interesów.

Istotne pytanie, jakie powinniśmy teraz postawić, dotyczy dalszych losów młodszego mnicha. Skoro jego postawa jest tak niepokojąco nam znana, to nie powinniśmy urywać naszej opowieści na mądrości starszego mnicha, nieubłaganej trafiającej w nasz słaby punkt, gruntownie podważającej nasze mniemanie o sobie i jednocześnie trudno dostępnej. Opowieść o współistnieniu powinna biec dalej śladem młodszego mnicha, poszukując mądrości w działaniu możliwym już po tym, co wydarzyło się nad rzeką. Tak jak poprzednio młodszy Li potrzebny był starszemu Wu dla aktu przekroczenia, tak teraz Wu powinien stać się oparciem dla Li w jego usiłowaniu odnalezienia się w świecie, w którym obcy pozostaje na tym samym brzegu, co on. Starszy mnich miał rację, twierdząc, że Li będzie już zawsze podążał przez życie razem z Inną/Innym. Nie zaszedłby daleko, gdyby próbował tego nie dostrzegać lub przed tym uciec. Każde radykalne „pozbycie się problemu”, które w historii przybierało postać różnych form eksterminacji i czystek, zabiłoby również jego, skoro z obcym są już nierozdzielni. Wiemy też, że nie ma dla niego powrotu do sytuacji sprzed przekroczenia rzeki, bo obcej kobiety już tam nie ma – jest pośród nas, na naszym brzegu. Wyzwaniem losu będzie dla niego obcowanie – budowanie wspólnoty z Innym. Przed nim kolejna rzeka do przekroczenia, ale jeżeli tym razem stanie na wysokości zadania, to nie po to, by napotkaną kobietę pozostawić na brzegu i pójść w swoją stronę, lecz aby z nią współistnieć. Jego przekroczenie spełni się jeśli obca, symbolizująca Innego, stanie się swoją – nie ciężarem lecz miłośnicie rozpoznaną częścią jego samego.

Na koniec naszej opowieści zapytajmy, kim była kobieta spotkana przez dwóch mnichów na brzegu rzeki. W równym stopniu co nieznaną i inną, była piękna i młoda. Czyżby starożytni opowiadacze tej historii chcieli nam zasugerować, że istnieje tu jakaś zależność, jakieś pole przyciągania? Być może niesłusznie sprowadzamy sedno spotkania nad rzeką tej trójki wyłącznie do ciężaru nagromadzonych frustracji i mniemań, które albo udaje nam się przezwyciężyć, albo nie. Czyż w napotkaniu obcego

nie dochodzi również do głosu przemożna potrzeba wychylenia się ku nieznanemu pięknu i innej młodości? Czyż obcy nie pociąga nas, nie budzi w nas tęsknoty, a może nawet pamięci za czymś, co utraciliśmy? Możemy spontanicznie być na to otwarci, jak Wu, albo gwałtownie odwrócić od tego wzrok, jak Li, ale w jednym i w drugim przypadku dajemy świadectwo emocjonalnej nieobojętności. Obcowanie, o którym snuje się ta opowieść, ma coś z przypomnienia – gdy staje się rzeczywiste, czujemy w nim obecność Erosa i Mnemosyne.

Krzysztof Czyżewski

Tekst ukazał się również w „Gazecie Wyborczej Białystok” 25.12.2015 r.

**Krzysztof Czyżewski** – praktyk idei, pisarz, reżyser i animator działań międzykulturowych. Współtwórca Fundacji „Pogranicze” i Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach. W 2011 r., wraz z zespołem „Pogranicza”, otworzył Międzynarodowe Centrum Dialogu w Krasnogrudzie. Inicjator programów dialogu międzykulturowego w Europie Środkowej, na Bałkanach, Kaukazie, Azji Środkowej, Indonezji, Bhutanie, Afryce Północnej i innych pograniczach świata. Wykładowca wielu uniwersytetów w Europie i USA; obecnie jest profesorem Uniwersytetu Bolońskiego i Rutgers University. Autor książek „Ścieżka pogranicza”, „Linia powrotu. Zapiski z pogranicza” i „Miłosz. Tkanka łączna”.